

Andrzej Juliusz Sarwa



Barry

opowiadania o psach

Andrzej Juliusz Sarwa
BARRY OPOWIADANIA O PSACH

Andrzej Juliusz SARWA

BARRY

OPOWIADANIA O PSACH

Armoryka
Sandomierz 2018

Tekst i projekt okładki: *Andrzej Sarwa*

Korekta: *Zespół*

Copyright © 2018 by Andrzej Juliusz Sarwa
& Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-639-1

Azor

Stary człowiek wyblakłymi oczyma wpatrywał się gdzieś w jeden punkt. Był jakby odcięty od reszty świata, którego częścią już się chyba nawet nie czuł. Trwał, bo trwał, lecz z owego trwania tak naprawdę nic nie wynikało. Niby miał wyjście, skończyć ze sobą, lecz w rzeczywistości nic by ono nie zmieniło, niczego nie naprawiło. Więc czy tak, czy inaczej trwał – z tym kamieniem niemal rozgniatającym mu duszę, w jakiejś stężałej rzeczywistości, zamrożonej chwili bólu, z którym nie umiał sobie poradzić. Nijak. W żaden sposób.

Nie patrzył na mnie, kiedy, jakby mimochodem, zadał pytanie:

– Panie, jak pan myślisz? Czy cierpienia zwierząt mają jakikolwiek sens?

Wzruszyłem ramionami, bo nie wiedziałem, co mógłbym mu odpowiedzieć, a on najwyraźniej nie czekał na moją opinię i zaczął mówić. Początkowo

cicho, monotennie, by dopiero z czasem snuć opowieść z większą ekspresją.

– Było widne jeszcze późnojesienne popołudnie. Jakoś tak chyba pod koniec listopada... A może był to już grudzień? Pierwsze dni? Miałem jakieś piętnaście-szesnaście lat... Może rok mniej, może rok więcej... już nie pamiętam... Było szaro i ponuro. Nad ranem poprószył pierwszy tegoroczny śnieg, który teraz, mimo dojmującego zimna, jednak powoli się roztopiał.

Wracalem ze szkoły do domu i naraz ze śmietnika sąsiedniego domu doleciało mnie żalosne skomlenie psiaka. Podszedłem do płotu i wtedy go zobaczyłem. Małe ciało, pokryte białą, brudną sierścią, taką surową, skudloną, widać, że nie głaskaną, drżące od chłodu. I te ciemne... ciemnoorzechowe ślepka wpatrujące się we mnie prosząco. A i wylęknione ponad wszelką miarę też. Szczeniak zamilkł na chwilę, a potem znów raz czy dwa zaskomlił cichuśko.

Pobiegłem do domu: „Mamo, mamó, na śmietniku obok jest szczeniak, mogę go przynieść do domu?” Kiwnęła głową na zgodę. To miał być mój pierwszy w życiu pies!

Wróciłem czym prędzej, wyciągnąłem rękę ponad dość niskim płotem zbitym z prostych, heblowanych, ale już poszarzałych od slot i wiatrów sztachet, a on – mała bezradna kuleczka, podpełzł do

niej, sunąc niezdarnie po tym wierzchołku okazałej sterty śmieci. Uniosłem go za skórę na karku, wziąłem na ręce i zaniósłem do domu.

Po co go brałem? Nie wiem. Dziś żałuję... taki odruch... ale nic poza tym... taki – panie – odruch...

Przez zimę nie było łatwo. Pies brudził, trochę dokuczał, ale też i rósł. My przyzwyczajaliśmy się do niego, a on do nas.

Zdawało mi się, że chyba chciał mnie pokochać, ale ja, panie, jakoś nie odwzajemniałem tych jego pragnień. Zresztą nikt z domowników ich nie odwzajemniał. Pies rósł i serce mu dziczało. Bo tak to już bywa, czy to z człowiekiem, czy ze zwierzęciem, że nieodpłacone uczucie sprawia, że serce dziczeje...

Ale on mnie i tak kochał. Bezinteresownie, po psiemu. Chociaż rzadko bywałem w domu. No bo szkoła, koledzy... Lecz kiedy wracałem, przychodził mi do kolan i podstawiał łeb do głaskania. Tyle że ja go zbywałem. Odchodził więc i kładł się gdzieś nieopodal z łbem ułożonym na wyciągniętych łapach wpatrzony we mnie... Miał nadzieję... Wtedy tego nie rozumiałem... a dziś już, panie, za późno...

Azor... nazwaliśmy go Azor... Nie jakoś tam wymyślnie, ale tak najzwyczajniej... Do wiosny wyrósł na sporego kundla, w którego żyłach musiało pły-

Barry

Słońce powoli kryło się za horyzontem, upał zelał, choć od nagrzanej ziemi wciąż czuć było ciepło. Na zadaszonej werandzie domku letniskowego, przy plastikowym owalnym stole nakrytym wzorzystym, w nie najlepszym smaku, tanim obrusem, nabytym zapewne w jakimś supermarkecie, siedziały cztery osoby, dwie młode, wyglądające na jakieś trzydzieści – trzydzieści dwa lata kobiety i dwóch mężczyzn, tak na oko o jakieś pięć lat starszych od pań.

Panie plotkowały o strojach, kosmetykach, obgadywały koleżanki, panowie pilnowali grilla, na którym odymiała się karkówka, kaszanka, kielbasa nadziewana jakimś świństwem, dwie marchewki, dwa ogórki przekrojone wzdłuż, no i jeszcze plasterki cukinii, bo cukinia musiała być! Cukinia była „trendy”. Te ostatnie „frykasy” były przeznaczone dla kobiet, no bo przecież musiały dbać o linię!

Na świeżo wystrzyżonym trawniku, nieopodal tujowego nieformowanego żywopłotu leżał pies. Cudny kundel, dość mocno kudłaty, z okazałym czarnym nosem i takiej samej barwy pyskiem, niezbyt dużymi, odrobinę filuternie zmrużonymi ślepkami lśnącymi niczym starannie wypolerowane kawałki bursztynu. Uszy miał ciemnobrązowe klapnięte, czoło i policzki zaś, aż po nos, podpalane, szyję i barki otaczała mu kryza z popielatej, upstrzonej beżowymi plamkami sierści. Uśmiechnięty pysk natomiast odsłaniał rząd białych zdrowych ząbków. Grzbiet miał prawie czarny, brzuch i ogon zaś jasnobeżowe.

Kielbasa na ruszcie zaczęła skwierczeć, pies zwęszył jej charakterystyczny zapach i przełknął ślinę. Uwielbiał, kiedy jego ukochany pan rozpałał grilla, bo zawsze, gdy już wszyscy zjedli, co mieli zjeść i wypili, co mieli wypić, coś tam z resztek, jakieś niedojedzone kawałki dostawał. Nie żeby było to szczególnie smaczne, ale dawał mu je jego pan! I to się dla Barriego przede wszystkim liczyło.

– To co Marcin? Urlop? – z pytaniem do gospodarza zwrócił się popijający piwo wprost z puszkki jego kolega.

– Nareszcie, Olek, nareszcie!

– To dokąd się wybieracie? – Olek drażył temat.

– A nie zgadniesz!

– Do Zakopca?

Marcin przecząco pokręcił głową.

– Nad morze?

– Można tak powiedzieć.

– To gdzie? Do Jastarni? Jak zeszłego roku?

Marcin pogardliwie wyduł wargi.

Olek przenikliwie świdrował go zmrużonymi oczkami.

– No nie, nie mów, że...

– Właśnie! Spełnię marzenie Iwony!

– Na Kanary? Nie mów?! Na Kanary?!

– Na Kanary, chłopie. Właśnie! Stać nas!

Olkowi zrzęda mina. Upił kilka drobnych łyków piwa i siedział milcząco.

– A właściwie to dlaczego ty tego piwa nie należysz sobie do szklanki? Jak kulturalni ludzie?

– Bo tak lubię. A co? Nie wolno? Przymus jakiś, żeby ze szklanki?

Marcin wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

– Barry! – zawołał w końcu. – Barry, chodź tu! – Klepnął się w kolano.

Pies w kilku susach był przy nim, wsparł się łapami o krawędź krzesła i usiłował polizać mężczyznę po nosie. Ten trzepnął go otwartą dłonią w łeb i Barry potulnie usiadł, a potem położył mu się u stóp, od czasu do czasu tylko podnosząc oczy i z miłością zerkając na twarz Marcina.

Panie na jednorazowe kartonowe talerzyki nałożyły odymione i rozparzone kawałki kielbasy i po sporym płacie karkówki. Podały plastikowe sztucce.

– To nie będziecie jadły tej marchewki? – kpiąco zapytał Olek.

– Będziemy, będziemy, tyle że z piwem się nie komponuje – odparła Iwona.

– Jak to z piwem? To ty masz zamiar pić piwo?

– A czemu nie? Najwyżej pół szklanki. Na smaka.

– To kto będzie prowadził?

– Ja. A bo co?

– Po piwie?

– Oj tam, oj tam. Zanim się stąd ruszymy, to wszystko ze mnie wyparuje.

Zabrali się za jedzenie, od czasu do czasu rzucając jakieś resztki Barriemu. A pies był wniebowzięty. Jego serce przepętniała miłość do Marcina. Bezinteresowna, wcale nie za te ochłapy karkówki i niedogryzki kielbasy, ale za to, że był *jego* psem, a on *jego* panem...

– A kiedy wy będziecie urlopować? – Marcin zwrócił się z pytaniem do Olka.

– My? A dopiero w połowie września.

– To wiesz co?

– Co?

– Może byście wzięli do siebie Barriego na te dwa tygodnie, jak nas nie będzie. Co? Postawię ci za to wiskacza. Co?

Olek wzruszył ramionami.

– A niby czemu? Co mnie obchodzi twój pies. Wiesz, że nie lubię psów, a Gośka się ich boi.

– Jakoś tego nie widać – odparł Marcin i wskazał głową na Gośkę, która akurat ciągnęła Barriego za uszy, a on z uśmiechniętym pyskiem lizał ją po rękach.

Olek wzruszył ramionami. Rozmowa wyraźnie się już nie kleiła. Gdyby nie ta zazdrość, którą poczuł, dowiedziawszy się o urlopie na Kanarach, to może by i przygarnął Barriego, ale tak? Stać ich na taką drogą wycieczkę, to niech sobie do psa kogoś wynajmą, albo oddadzą gdzieś do schroniska na przechowanie. Podniósł się gwałtownie z krzesła.

– Gośka, idziemy!

– Już? Jeszcze młoda godzina, jutro niedziela...

– Idziemy.

Nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku furtki.

– Co go ugryzło? – zapytała Iwona.

– A bo ja wiem?... – odparła Gośka. – No to się trzymajcie. Cześć. Do następnego!

– Pa! Do później! Zadzwoń!

* * *

– Mamo... – Marcin nie bardzo wiedział jak zacząć. – Mamo...

Drzewo i kundelek

Był upalny dzień, zapyloną drogą wijącą się gdzieś hen, daleko, w stronę horyzontu, wędrowało dwóch mężczyzn. Niby podążali w tym samym kierunku, niby szli blisko siebie, ale przecież nie byli towarzyszami podróży. Od czasu do czasu tylko jeden z nich łąpał na drugiego złym okiem, wędrowali jednak w milczeniu.

Słońce prażyło niemiłosiernie, jakby chciało świat spopielić, cała przyroda dyszała ciężko, ale na tych dwóch nie widać było najmniejszego nawet śladu zmęczenia. Kiedy jednak spotkali spory zagajnik starodrzewu, zboczyli z drogi i weszli w jego mroczną głąb, aby postronny obserwator mógł uznać, że nie do końca tak jest i że jednak szukają cienia, a w cieniu wytchnienia i ulgi. Wędrowcy nie zwolnili jednak tempa marszu i nadal stawiali pewne, długie kroki, jakby doskonale wiedzieli, dokąd mają dotrzeć. I wreszcie dotarli. Dotarli do polany zarosłej trawą i ziołami, na któ-

rej środka rośło samotne drzewo. Było jeszcze dość młode, ale piękne, wysmukłe i z wyglądu krzepkie.

Pierwszy z wędrowców, ten, który przez cały czas trzymał się lewej strony drogi, zbliżył się do niego, ogarnął je pieszczotliwym wzrokiem, pogładził chropawą korę i wyrył na niej znak trójkąta, tak jakby brał je w posiadanie i cechował swoim znamięm. Może planował później je wyciąć i wykorzystać do czegoś? Pewnie tak było.

Kiedy pierwszy z wędrowców odszedł, a jego sylwetka zagubiła się gdzieś pomiędzy pniami starodrzewu, drugi mężczyzna, ten, który wcześniej trzymał się prawej strony drogi, stojący dotąd z boku, teraz podszedł do pnia, ogarnął go smutnym wzrokiem, objął ramionami, dłonią przesunął po znaku trójkąta, który pod tym dotykiem znikł, a na koniec ukląkł, skłonił głowę i wsparł się czołem o szorstką korę. A wtedy listki na drzewie poczęły drżeć, jakby w przeczuciu zbliżającej się burzy...

W końcu i drugi z wędrowców dźwignął się na nogi i ruszył w tę samą stronę co ów, który pierwszy się oddalił... a po paru chwilach i on jakby rozsunął się wśród kolumnady pni...

Niebo się zmroczyło, gwałtowny podmuch wicheru raz i drugi szarpnął konarami samotnika rosnącego na środku polany, strącił z nich dobrą przy-

garść liści, zakręcił nimi w jakimś szalonym wirze, a potem ustał i ucichł...

* * *

– Spójrz synu, jakie zgrabne drzewo! Zetnijmy je, będą ze dwie belki na powalę domu. Tyle że jedna dłuższa, a druga krótsza, więcej się z tego nie wyciosa.

Słowa te wyrzekł stary brodaty, posiwiwały i już lekko przygarbiony od znojnej, ciężkiej roboty, choć w miarę krzepki jeszcze mężczyzna, dźwigający ciesielską siekiere. A skierował je do towarzyszącego mu wysokiego, z wyglądu silnego i nad wyraz proporcjonalnie zbudowanego młodzieńca, który tak na oko mógł mieć jakieś 20-23 lata, który niósł piłę. Taką zwykłą, dwuchwytową, o potocznej nazwie „moja, twoja”.

– Nie – ono jeszcze nie dojrzało, jeszcze nie nadszedł jego czas. Drzewo tylko tak dorodnie wygląda, ale jak się je ociosze, zesłabnie i nie udźwignie tego ciężaru, jaki ma się na nim utrzymać. Niech jeszcze pożyje...

* * *

Gdy drzewo dojrzało, to ścięto je i z grubsza oczyszczono. Konary i drobniejsze gałązki zebrano

w stos i spalono, iżby wiatr, rozwiawszy popiół, użyźnił dookolną glebę. A potem smukły pień powieziono do warsztatu cieśli.

Nie był to już ten warsztat, co jeszcze przed kilku laty, stary majster bowiem umarł, a młody w pojedynkę nie mógł brać tylu zleceń, ile ich brali we dwóch. Zresztą młody postanowił rzucić ciesielkę, nie była ona bowiem jego misją, a było nią coś zgoła innego...

Kiedy przywlekli mu ten pień i wyprzęgli suchotniczego, zabiedzonego konika, który go z trudem przyciągnął, młody cieśla najpierw, jakby na przywitanie, lekko dmuchnął szkapinie w chrapy, niezwykle delikatnie i czule pogładził ją po nich, przytulił swój policzek do łba zwierzęcia, poklepał je po szyi i zwrócił się do stojącej nieopodal wyglądającej na jakieś czterdzieści kilka lat kobiety:

– Mamo, bardzo cię proszę, przynieś trochę miodu. Tego, co to już się zestalił i stwardniał. Odłup go nieco, ale nie skąp, daj tak od serca, dobrze?

Sam zaś nadal głaskał konia i szeptał mu coś do ucha. Matka przyniosła spory kęs zbrylonego miodu. Podziękował jej spojrzeniem.

– No, staruszk, skosztujże jakie to pyszne, podetknął koniowi słodką i wonną bryłkę pod sam pysk.

A ów wziął ją delikatnie aksamitnymi wargami i przez jakiś czas międlil językiem, jakby rozkoszując się smakiem, aż w końcu przełknął.

– Smaczne było, staruszkule? Pewnie nigdy czegoś takiego w swoim smutnym życiu nie próbowałaś...

Koń jakby rozumiejąc, zarżał cichusko.

Zobaczywszy to czarny kot i rudawy pies popędziły teraz na wypródkę, kot, by otrzeć się o nogi młodego cieśli, a pies, by podstawić mu łeb do pogłaskania, bo każdy chciał dostać swoją porcję czułości.

– No już, już, wystarczy – mówił cieśla, ale nie odmawiał im pieszczot.

A kiedy zwierzaki wreszcie odbiegły, każdy w swoją stronę, zwrócił się do ludzi, którzy dostarczyli mu surowy pień drzewa.

– To już ostatnia robota, jaką biorę. Następną zlećcie komuś innemu.

– Ale ty jesteś najlepszym cieślą na całą okolicę!

– To już ostatnia robota, jaką biorę – powtórzył dobitnie. – Powiedzcie mi tylko, co mam zrobić z tego pnia?

– Gładko ociosaj w kant, podziel na dwie części – dłuższą i krótszą, wyłóć zakłady na poprzeczne łączenie... tyle...

– Zatem mam zrobić... krzyż?...

– Właśnie...

* * *

Spis treści

Azor	5
Barry	12
Drzewo i kundelek	35